

A watercolor illustration of a woman in traditional Tatra dress, shown in profile. She has a long black braid adorned with red flowers. Her dress features a white blouse with puffed sleeves and a dark red vest. The background is a soft, abstract wash of colors, including green, blue, and red, suggesting a natural setting.

BEATA  
GOŁEMBIOWSKA

*Malowanki  
na szkle*

tatrzańskie przełomy

**e-bookowo.pl**  
wydawnictwo internetowe

BEATA  
GOŁEMBIOWSKA

*Malowanki  
na szkle*

© Copyright by Beata Gołombiowska & e-bookowo

Projekt okładki: Tina Nawrocka

Redakcja: Małgorzata Czernik

Korekta: Monika Kanigowska

Skład: Katarzyna Krzan

ISBN e-book: 978-83-8166-150-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II 2020

*Siostrze mojej,  
Jolancie Gołombiowskiej-Johnsson  
– wspaniałej malarce, której twórczość  
stała się dla mnie inspiracją  
do opisania obrazów Jędrka Karpińskiego  
– bohatera „Malowanek na szkle”  
– książkę tę dedykuję*

*Składam serdeczne podziękowania  
wszystkim osobom, które pomogły mi  
w procesie powstawania „Malowanek na szkle”:  
Danusi Twardoch – za entuzjastyczną  
pierwszą opinię, dającą mi wiarę  
i siłę do kontynuacji pracy nad książką,  
Oli Zwierzchowskiej, Bogusi Milewskiej,  
Halinie Mickiewicz, Wandzie Moskal  
i Mariuszowi Wasilewskiemu – za cenne uwagi,  
a córce – Tinie Nawrockiej – za piękny projekt okładki.  
Góralowi Andrzejowi Zubkowi za wnikliwe  
sprawdzenie tekstów w góralskiej gwarze.  
Dziękuję wszystkim napotkanym przeze mnie  
tatrzańskim góralom za wszczęcie we mnie  
zamiłowania do góralskiego folkloru oraz do Podhala,  
jednego z najpiękniejszych zakątków Polski.*

# Rozdział I – Jola

Jakże musi być gorąco tym wszystkim ubranym na czarno ludziom stojącym nad świeżo wykopanym grobem w ten letni, upalny dzień. Tuż obok mnie otyły jegomość ociera chustką pot płynący cienką stróżką spod wysokiego kapelusza, a mokry po nim znak do złudzenia przypomina ślad po pełznącym ślimaku.

– Upał, straszny upał – skarży się dama o obfitych kształtach.

Zdecydowanym ruchem zdejmuję kapelusz i zaczynam się nim wachlować. Rozłożyste, podobne do starego grzyba narkrycie głowy zmienia się w barwnego motyla (czy to morfo, bo taki niebieski?), który zaczyna coraz szybciej trzepotać skrzydłami i nagle pojawia się na błękicie nieba w formie turkusowej plamy. Mrużę oczy, śledząc jego lot. Zniknął, wchłonęła go przestrzeń nieboskłonu, taka wolna, swobodna. Niechętnie przenoszę wzrok na tłum.

„Skąd ich się tyle zebrało? Przecież nie mamy nikogo z rodziny, a przyjaciół można by policzyć na palcach jednej ręki.”

Napotykam na wrogie, wręcz nienawistne spojrzenia, obla-piające mnie lekko jak macki ośmiornicy.

„Ależ się ubrała!” – zdają się mówić, przypatrując się mojej kolorowej sukience. Może to z ich powodu nie czuję słońca na nagich ramionach. Przeciwnie, chłód przenika moje ciało.

W ręku trzymam dwa bukiety rozsiewające dookoła dziwną woń. Wchłaniam ich zapach.

„Szkoda, że muszę się z nimi rozstać.”

Rzucam kwiaty w czarną czeluść dołu, obserwując jak z cichym szelestem spadają na dwie proste trumny. Wybucham głośnym śmiechem.

„Tak, chcę pokazać wszystkim, jaka jestem szczęśliwa!”

Odchodzę powoli, nie oglądając się na ludzi, czując ich wzrok wbity w moje plecy. Wkraczam w mgłę, jej wilgotne kropelki osiadają mi na twarzy. I oto jestem na górskiej hali. Moje bose stopy czują miękkość traw i szorstkość turzyc. Łodygi i płatki kwiatów czepiają się sukni, zaczynają mnie oplatać jak dzikie wino albo nie, jak powój, bo wszędzie widzę kwiaty; różowe, liliowe, białe. Muszę coś zrobić, żeby nie zniknąć pod tą rozbuchaną masą. Zaczynam tańczyć, z początku delikatnie, na palcach, lecz to nie wystarcza, aby wyrwać się z zagarniającej mnie otchłani. Taniec zmienia się w coraz bardziej dziki, wyrzucam gwałtownie nogi i ręce, wyrrywam się z pułapki i moje ruchy stają się powolniejsze. Uwolnione ręce wędrują pod boki, a nogi, również już niczym nieskrępowane, zaczynają drobić po góralsku. I nagle sen się urywa.

„Brr. Senna mara. Czy rzeczywiście cieszyłam się ze śmierci matki i Simy? Nie, to nieprawda, to tylko sen.”

\*

Usiadłam na obszernym materacu, powoli otwierając oczy i przechodząc w świat jawy – mojej nowej sypialni. Przez długie lata miała zupełnie inny wystrój i dopiero niedawno odważyłam się na radykalną zmianę. Zaczęłam od wyrzucenia wszystkich

starych gratów, co oczywiście spotkało się z wielkim sprzeciwem matki.

– Taka piękna meblościanka, taki jeszcze dobry materac – narzekała, kuśtykając za mną krok w krok, podparta swoją nieodłączną laską, której stukot zgrywał się z odgłosem ciężkich stąpnąć Simy, suki rasy rottweiler.

Głucha na wszystkie protesty sama dźwigałam materac, spychałam go ze schodów, zasapana i spocona ciągnęłam po chodniku, aż wreszcie dotarłam do śmietnika i tam z ulgą go porzuciłam. Z przyjemnością obserwowałam, jak przez tydzień mókł na deszczu i nikt, nawet bardzo biedna, wielodzietna rodzina nie pokusiła się, żeby go wziąć. Meblościankę, łóżko i firanki podarowałam właśnie tym obsypanym wielu pociechami biedakom z pierwszego piętra. Długo przyglądali się meblom, dostrzegając wszystkie pęknięcia i zarysowania forniru, macali zszarzałe firanki, kiwając głowami i spoglądając to na siebie, to na darowiznę.

„Jak może oferować nam takie starocie?” – mówiły ich spojrzenia.

Usłyszałam niepewne „dziękujemy” i rodzina pospiesznie zaczęła przenosić meble na górne piętro. Zostałam sama w pustym pokoju. Brudne zacieki na ścianach prezentowały kształty dziwacznych kontynentów poprzecinanych rysami pękającego tynku. Chodziłam po sypialni jak po muzeum, przyglądając się różnorodnym plamom: wylany lata temu atrament nadal pysznący się intensywną czernią; białawe nitki po penicylinie przypominające próbę odetkania strzykawki – pielęgniarka robiła mi zastrzyki, gdy chorowałam na zapalenie płuc; odbite łapki

kota-przybłądy, który przerażony wskoczył na parapet okna. Nie ma się co dziwić. Ostatni raz ściany widziały świeżą farbę jakieś trzydzieści pięć lat temu.

– Dlaczego wcześniej nie zdobyłam się na pomalowanie pokoju? Może nigdy mi na tym nie zależało? I tak nikt mnie nie odwiedzał, więc tylko ja byłam świadkiem jego brzydoty. Michalina była wystarczająco dokuczliwa w codziennych relacjach, a byłam pewna, że propozycja jakichkolwiek zmian wywoła u niej gwałtowny sprzeciw. Dotychczas nie czułam w sobie wystarczająco dużo siły wewnętrznej, żeby znieść jej dodatkowe narzekania i pełną pretensji ciszę wyrażoną poprzez wrogie spojrzenia czy zaciśnięcie ust. Może, kiedy człowiek osiągnie półmetek swojego życia, zaczyna nabierać odwagi?

Stałam pośrodku pokoju i długo zastanawiałam się, co dalej począć. Nie miałam żadnego planu, bo choć chciałam pozbyć się starego świata, to na nowy nie byłam jeszcze gotowa. Zamknęłam oczy. Wyobraźnia zaczęła podsuwać mi najśmielsze rozwiązania – od oszczędnych, ascetycznych wewnątrz aż do szalonego eklektyzmu. Trwałam tak nieruchomo przez dłuższą chwilę. I nagle zobaczyłam swój pokój jak z obrazu Fridy Kahlo – pełen koloru i słońca! Zdecydowanym krokiem udałam się do sklepu z farbami.

Brudne ściany ginęły przykryte ostrym kolorem. Znienawidzona stara przestrzeń malała przy każdym ruchu wałka. Ogarnął mnie szal. Pracowałam gorączkowo, bez przerw, aż do ostatniego pociągnięcia pędzla, które „przy pieczętowało” zakończenie robót. Pozostał tylko zakup nowych mebli i zasłon, zawieszenie obrazów.



Przez cały czas renowacyjnych działań matka milczała, zaglądając co chwila przez uchylone drzwi do mojego pokoju. Słyszałam jej pełne dezaprobaty mruknięcia, szurające kapciami kroki i towarzyszący im stukot psich pazurów. Staralam się nie przejmować zachowaniem Michaliny, podśpiewując sobie dla dodania otuchy wszystkie piosenki, które znałam. A jednak cały czas o niej myślałam.

„Zazdrości mi tego pokoju. Sama cierpi i pragnie, aby inni byli w tym samym stanie ducha, co ona...”

Kobaltowy kolor ścian wyszedł identycznie jak na obrazach Fridy. Nowy, wielki materac przykryty haftowaną hinduską narzutą ustawiłam na środku pokoju, stara walizka zastąpiła nocny stolik, a prosty stół o grubym blacie spełnił rolę biurka, gdzie oprócz komputera znalazł się posążek Buddy. Jedynie zdjęcia Tatr oprawione w białe ramki sugerowały, że sypialnia mieści się w Polsce, a nie w jakimś tropikalnym kraju. Ta mieszanina tatrzańskich, meksykańskich i hinduskich elementów idealnie odzwierciedliła moje spełnione i niespełnione marzenia. Polskie góry znałam całkiem dobrze i raz w roku udawało mi się tam wyrwać na kilkudniową wspinaczkę. Natomiast piramidy Majów i szczyty Tybetu nadal pozostawały nieosiągalne.

Dalekie podróże były dla mnie niemożliwe nie z braku funduszy, chociaż ich nadmiarem nigdy nie mogłam się pochwalić. Powodem mojej osiadłej egzystencji była Michalina – moja matka i jej pies – Sima. Matka miała zaledwie siedemdziesiąt dwa lata, lecz ciężkie życie przedwcześnie ją postarzyło. Do tego doszła choroba nóg i moja zawsze biadoląca rodzicielka stała się jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

„Dlaczego muszę tkwić w tej chorej symbiozie? Czy nie mogłabym inaczej ułożyć sobie życia? Dlaczego jestem jedynaczką i cały ciężar opieki nad matką spada na mnie?” – zastanawiałam się coraz częściej. Mimo to nie dopuszczałam do siebie myśli o opuszczeniu mamy czy oddania jej do domu starców. Przeszkodą była nie miłość, tylko litość, nasilająca się szczególnie wtedy, gdy przypominały mi się jej przeżycia wojenne.

\*

Lata okupacji Michalina spędziła w Warszawie, na Woli. W pierwszym miesiącu Powstania patrol niemiecki wtargnął do kamienicy, gdzie mieszkała razem z rodzicami i bratem. Wśród wrzasków, ujadania psów i poszturchiwań kolbami, przerażeni ludzie zostali wygnani na zewnątrz. Mama, jedena-stoletnia wtedy dziewczynka, była w piwnicy. Usłyszała krzyki, płacz i tupot na schodach. Była dzieckiem wojny i domyśliła się, co one oznaczają. Instykt podpowiadał jej: „ukryj się i przeczekaj”, lecz niepokój o bliskich był silniejszy. Przemogła strach i wyrzała przez małe okienko. Zobaczyła zgromadzonych na podwórzu mieszkańców kamienicy, a wśród nich rodziców i trzyletniego braciszka, Jacusia. Przerażony malec rozglądał się dookoła i nagle wyciągnął rączki, tak jakby prosząc siostrę o pomoc. Michasia dopadła drzwi. Zawsze miała kłopot z otwarciem starego, zacinającego się zamka i tym razem też tak się stało. Mocując się z nim, usłyszała strzały. Puściła kłamkę i jak spłoszone zwierzątko wcisnęła się w najdalszy kąt piwnicy. Choć na podwórku zapanowała cisza, ona nadal nie ruszała się z miejsca. Może jakiś jęk poderwał ją na nogi? Tym razem drzwi

ustąpiły już po jednym szarpnięciu, więc wypadła na podwórze i podbiegła do leżących, zalanych krwią nieruchomych ciał. Spod jednego z nich wystawała rączka dziecka. Dziewczynka znalazła tyle siły, aby przesunąć martwego mężczyznę i wydobyć spod niego swojego braciszka. Jacuś jeszcze żył, chciał nawet coś siostrze powiedzieć, lecz po kilku minutach skonał. Trzymając cały czas w objęciach martwego chłopczyka, odnalazła ciała rodziców. Śmierć ojca i matki dotarła do jej świadomości, ale z utratą braciszka nie mogła się pogodzić.

„Jacuś... kochany, maleńki... wyzdrowiejesz, będziesz żył...”  
– szeptała, trzymając go w ramionach.

Tak zastali ją powstańcy. Przemocą oderwali Michasię od ciała brata i odeszli, gdyż Niemcy mogli wrócić i nie było czasu na grzebanie ofiar. Mama przeżyła zostawienie ciała Jacusia równie silnie jak jego śmierć.

– Zawiodłam go i porzuciłam dwa razy, nigdy sobie tego nie wybaczę – powtarzała za każdym razem, ilekroć zbierało się jej na wspomnienia. Ostatnio robiła to często, jakby celowo chciała zadrećcać się przeszłością. Kiedy usłyszała czy przeczytała cokolwiek o Powstaniu, narastała w niej fala nienawiści do ludzi, którzy byli odpowiedzialni za zagładę Warszawy.

– Oni nie patrzyli, jak giną ich bliscy! Przecież wojna i tak miała się skończyć. Znali doskonale okrucieństwo Niemców. Te góry trupów, te małe dzieci rozstrzelane, spalone, te matki oszalałe z bólu. Dwieście tysięcy ofiar i kompletnie zniszczone miasto. Po co to wszystko? I teraz tej największej głupocie narodowej stawia się muzeum?

Aż do upadku Powstania mama była dzieckiem-żołnierzem,

jednym z wielu w tych okropnych dniach. Tuż obok niej ginęli ludzie od kul i bomb, ale nie robiło to na niej dużego wrażenia. Po tym, co stało się z jej rodziną, już nic nie mogło jej dotknąć.

Ilekróć miałam dosyć Michaliny, nie mogąc ścierpieć jej pełnego pretensji głosu, jej kapciowo-szurającego chodu, zapachu starego ciała i zbolałej twarzy o zaciśniętych ustach, nagle znajdowałam się na podwórku wśród huku bomb i byłam małą dziewczynką trzymającą na rękach martwego brata. Dusił mnie pył i swąd spalenizny unoszący się w powietrzu, a ja stałam nieruchomo pośrodku ruin i nie mogłam zrozumieć, co tak naprawdę się stało.

„Co czuje dziecko w takiej sytuacji? Przerazenie, opuszczenie, kompletny brak jakichkolwiek uczuć?” – nigdy nie miałam śmiałości zapytać o to matki. A potem łzy napływały mi do oczu, gardło ścisnęła niewidzialna obręcz i czułam niezmierną potrzebę przytulenia Michaliny z całych sił. Na usta cisnęły mi się najsłodsze wyrazy. Ale nie biegłam do fotela na biegunach, na którym matka przesiadywała godzinami, głaszcząc od czasu do czasu lśniący łeb Simy. Może bałam się, że nieumiejętny gest jeszcze pogorszy sytuację? A gdybym się przemogła i to zrobiła? Może wszystko potoczyłoby się inaczej? Dlaczego nikt mnie nie nauczył czułości?

Po wojnie mama trafiła do sierocińca. Spędziła tam kilka lat, chodząc do szkoły i marząc o studiach. Tak bardzo chciała zapomnieć o przeszłości i zacząć nowe życie. Po dojściu do pełnoletniości podjęła pracę jako robotnica w fabryce traktorów w Ursusie. Potem przeprowadziła się do Poznania, gdzie zamieszkała w wynajętym pokoju. Pracowała w sklepie, a wieczorami stu-

diowała zaocznie na politechnice. Nauka szła jej dobrze, stała się jej pasją – odskocznią od ponurej, powojennej rzeczywistości. Lepiej znosiła biedę i ciasne mieszkanie, bo dobre wyniki na studiach dawały jej szansę na lepsze życie. Było to też spełnienie misji. Przecież nie mogła zawieść rodziców – matki, nauczycielki gimnazjum i ojca, znanego inżyniera. Dodatkowo uskrzydliła ją miłość do studenta na tym samym wydziale. Był podobno polskim Tatarem, o trochę orientalnym wyglądzie; tyle informacji udzieliła mi mama o moim ojcu. Kiedy dowiedział się, że Michalina jest w ciąży, uciekł Bóg wie dokąd i przepadł bez śladu. A mama aż do emerytury pracowała w sklepie mięsnym, rezygnując zupełnie z aspiracji o wyższym wykształceniu i lepszym życiu.

Od wczesnego dzieciństwa pamiętam ją wiecznIE smutną i narzekającą. Nigdy mnie nie przytulała, za to niezmiernie często ganiła. Była surowa, wymagająca i nawet moje szkolne sukcesy nie zdobyły jej uznania. Może dlatego nauka stała się dla mnie tak ważna? Książki były moimi najlepszymi przyjaciółmi i otoczona nimi przenosiłam się w inny, lepszy świat. Jednego dnia byłam Mary z *Tajemniczego ogrodu*, a drugiego małą księżniczką cierpiącą biedę i poniżenie. W miarę dorastania wcielałam się w Oleńkę, Anusię, Justynę, a nawet Izabelę Łęcką. W wyobraźni zmieniałam swoje losy, a w przypadku Izabeli od razu obdarzyłam wielkim uczuciem Stacha Wokulskiego. Przeżywałam urojone miłości, usiłując zapomnieć, że tak naprawdę pragnę jednej – matczynej.

\*

# Spis treści

Rozdział I – Jola	5
Rozdział II – Hela	117
Rozdział III – Jola	177
Rozdział IV – Jędrak	262
Rozdział V – Jola	281
Rozdział VI – Hela	283
Rozdział VII – Adam	289
Rozdział VIII – Hela	326